

Z teatru

Tragedia ludzi głupich

„Ich czworo“ Gabrieli Zapolskiej
w P. Teatrze Współczesnym

JAKŻE inaczej wyglądałby dzisiaj ten dramat małżeński z roku 1907. pokazany przez Zapolską na scenie. Mąż inteligent nauczyciel zakochany w książkach, pragnący w domu spokoju, uregulowanych pór obładu, dobrych stosunków z dalszą rodziną, posłusznej żony i grzecznej córeczki? Owszem, zdarza się i teraz. Żona głupia do ostatecznych granic, a jednocześnie pragnąca jakiejś odmiany, egoistyczna koltunka, chwytająca każdą okazję, by zdradzić męża, który drażni ją swoją wyższością? Owszem, zdarza się i teraz. Młoda dziewczyna bez oparcia w życiu, pragnąca za wszelką cenę wyjść zamąż nawet za cudzego męża? Owszem, zdarza się i teraz. Bęcwał, żyjący z pożyczek, nie placący rat, uciekający przed wierzycielami, niebieski ptak i cyniczny łobuzina?

Owszem, zdarza się i teraz. Ma nawet swą nazwę, bikiniarza.

TO SIĘ NIE MOŻE ZDARZYĆ

ALE to, co się teraz nie może a szczęście zdarzyć, to wzajemne stosunki tych ludzi. Skończyły się bowiem raz na zawsze czasy, gdy najmocniejszą podstawę stosunków małżeńskich był pieniądź. Mąż, który w sztuce Zapolskiej schwytał na gorącym uczynku żonę w mieszkaniu kochanka, przez cały ostatni akt martwi się ogromnie jak żonę „zabezpieczyć” i nie przyczynić się czasem do tego, by „poszła na złą drogę”.

Wreszcie sprawa zostaje rozwiązana przez projekt pomysłowego kochanka, który wraz z niewierną żoną pojedzie do Monte Carlo i tam zamierza zrobić majątek.

Zapolska, napastwiwszy się nad tą parą głupców z właściwą jej wspaniałą pasją, stawia na nich krzyżyk, a szczęście rodzinne męża urządza jeszcze w oczach widza, sadzając tylko na miejscu żony od dawna czyhającą na to miejsce. Szwaczkę pannę Marię, która pod wieloma względami bardziej mu będzie odpowiadała.

Sztuka Zapolskiej pokazana dzisiaj, jest więc pod względem sytuacji obyczajowych historyczna, ale jeżeli chodzi o kreślenie wiecznych, tylko pod wpływem epoki zmieniających się charakterów, wciąż aktualna.

Wielokrotnie z różnych okazji pisało już o tym, że Zapolska ograniczyła się jedynie do krytyki obyczajowej ci mieszczańskiej i że nie biła w przy czynę zła, które widzieli. To prawda, ale każde słowo, padające ze sceny, celnie trafiło, jest potrzebne i nie powiedziane nigdy „tak sobie”.

Patrząc na postacie, które wyszły spod pióra Zapolskiej, postacie tej komedii, nazwanej przez nią w podtytułe „tragedią ludzi głupich” myśli się o tym, jak potężną bronią jest nienawiść do zła. Nienawiść do głupoty, do koltunstwa, do zafęchłego mieszczaństwa, którego produktem są takie Żony i tacy Kochankowie, rozsada w tej sztuce ramy ciasnych mieszczańskich pokojów, w jakich się akcja rozgrywa.

Zapolska w jednym ze swych listów do wydawców, nazwała tę komedię „syntezą ludzkiej przeciętnej głupoty” i tym wyrazem „przeciętnej” przypieczętowała jeszcze swą nienawiść do koltunek i mieszczańek.

MŁODZIEŻ WYSTAWIA
ZAPOLSKĄ

PRZEDSTAWIENIE komedii „Ich czworo” było dla nas specjalnie ciekawe ze względu na to, że wystawione zostało najmłodszymi siłami teatralnymi. Reżyseria spoczywała w ręku dwu młodych studentów wydziału reżyserskiego PWST (III rok) Wandy Łaskowskiej i Jerzego Rakowieckiego, a niemal cała obsada to byli bardzo młodzi aktorzy.

Zadanie spełnione zostało bardzo dobrze. Przede wszystkim, nie zatracono iskrzącego się od dowcipu soczystego dialogu i nie zmarnowano bodaj żadnej ze znakomych sytuacji, a to już bardzo wiele. Niemal wszystkie role obsadzone były też trafnie.

Główna rola głupiej żony grana była z dużym temperamentem i humo-

rem przez Hannę Bielicką. Zarzucić by jej można nieco zbyt nieprzechylenie roli w kierunku wulgaryzacji zwłaszcza w akcie ostatnim, gdzie przecież Zapolska ukazuje ją już jako przejętą fałszywą skrucą mieszczkę. Nie należało zapominać o tym, że Żona jeszcze jest mieszczańską idiotką, a nie kokotką z Monte Carlo, a w tym kierunku znakami szła interpretacja Bielickiej. Znakomicie zagrała natomiast scenę przedowcipnej rozmowy z Kochankiem w jego garsonierze, a okrzyk przerażenia, gdy Kochanek, wyglądający za Mężem otwiera okno „Teraz mi się obaj przeziebiecie!” zabrzmiał prawdziwą głupotą.

Andrzej Łapicki ostatnio stwarza interesujące naprawdę kreacje: po szpiclu w sztuce Fausta, jego kochanek jest całkiem inny i równie dobry. Bez graniczna głupota i całkowity cynizm tego łobuza były oddane jaskrawo, a jego „keine Idee” wymawiane z wiedeńskim szykiem sprzed lat 50.

Trzecia w tym zespole szwaczka Maria znalazła w Halinie Czengery inteligentną odtwórczynię. Może zbyt mało wygrała moment schwycenia w swe poklute od igiel rączki upragnionych kluczy, które dają jej przecież władzę pani domu w ręce, ale wynagrodziła to świetnym władcym ruchem, jakim sadza małą Lilusię przy tym pierwszym rodzinnym w nowej konfiguracji śniadaniu.

Może najbardziej blado wypadła figura męża w grze Stanisława Paśkie wicza. Postawił całą rolę na jakiejś karawaniarsko monotonnej nucie, a przecież ten człowiek, mimo że tak nudny dla głupiej żony, ma swoje zainteresowania, swą inteligencję, swe wreszcie jakieś uczucia ojcowskie w stosunku do córeczki, a nawet zainteresowanie kobietami. Tu tego wcale nie widać: brodata mumia przeraża nas raczej, a nawet niepotrzebnie śmieszy.

Kochliwą wdowę, która tylko płaci, a nic nie ma z miłości do lokatora, zagrała doskonale Irena Horecka. Barbara Drapińska nie zawahała się zrobić z siebie straszdyła w niewielkiej roli sługi - popychadła. Dziewczynka grająca Lilusię zadziwiła swobodą ruchów i pamięcią, z jaką opanowała rolę.

Reżyseria słusznie uczyniła, usuwając ze służki młodopolski prolog z Mandragorą, jakimś fantastycznym stworem, mówiącym właściwie brednie, mające być morałem. Zapolska sama nienawidziła takich młodopolskich nastrojów i niewątpliwie wprowadziła Mandragorę wbrew własnemu gustowi, gwoli panującej mody „nastroju”.

KAROLINA BEYLIN